

Ajent policyjny.

Powieść na tle stosunków amerykańskich.

Przełożył z angielskiego Joter.

2

ciąg dalszy.

Ale mimo to oczy jego, zazwyczaj tak jasne i czyste, zasnuły się mgłą przeraźliwej troski, tak, że twarz jego wydawała się o parę lat starszą.

Przyszedłszy do domu, powitał matkę wesołym „dobry wieczór“.

Ale oko matki nie da się zwieść pozorami.

Dotychczas tłumiła w sobie przemocą, cisnącą jej się do ust pytanie; dzisiaj jednak wesoły ton, jaki ją uderzył w przywitaniu syna, wydał jej się bardziej jeszcze wymuszonym, jak w dniach poprzednich, chociaż zauważyła to już od kilku tygodni. Miała jednak zawsze nadzieję, że ta zmiana, jaka najniespodziewaniej zaszła w jej synu, przejdzie sama przez się; spodziewała się, że może Henryk sam jej wyzna przyczynę tej zmiany, boć zrozumie chyba to nareszcie, że przed okiem matki ukryć jej nie zdoła.

— Henryku — zaczęła, siadając obok niego na sofie — co tobie, moje dziecko?

— Nic, mam.

— Może nie jesteś zdrowy?

— Ale gdzież tam! Najzupełniej.

— W takim razie musisz mieć jakiś wielki kłopot; coś cię dręczy, to widać.

— Ależ, mam...

— Henryku, przedemną przecie nie powinienes mieć żadnych tajemnic!

— Ja ich też nie mam, mamusi. Zdaje ci się tylko. Mam chwilowo bardzo dużo do roboty, nie więc dziwnego, że jestem tak rozstrojony ze znużenia.

Pani Wilbert spojrzała na wyniosłą postać swego, męską pięknoscią pięknego syna, a w oczach jej zabłysł promień wątpliwości w możliwości tego tak nagłego znużenia.

— Henryku, mnie w błąd wprowadzić nie zdołasz. W ostatnich czasach obserwowałam cię bardzo skrupulatnie. Że masz jakieś kłopoty, o tem wiem napewno. Ale jakiegokolwiek one są, nie powinienes ich przedemną ukrywać. Miej przecie zaufanie do mnie, podziel się nimi ze mną!

— O, matko! — krzyknął naraz młody człowiek — nie mogę, nie mogę!

— A więc przyznajesz sam, że masz kłopoty!

— Chcesz o tem wiedzieć koniecznie, więc tak!

— Powiedz mi więc, co cię dręczy!

Pogładziła go po włosach i ucałowała w głowę, jak to czyniła niegdyś, kiedy go jeszcze na rękę nosiła.

— Musisz mi powiedzieć! — zawołała po chwili z naciskiem.

— Powiem ci więc prawdę, mam! Jestem wystawiony na piekielne męki.

— To już od dawna widzę, moje dziecko. Mów więc dalej!

— Dowiedziałem się już dawno, że część personalu w naszym banku ma dostać dymisy. Młodszy szef firmy nie lubi mnie. Ja mam pierwszy dostać wypowiedzenie.

Henryk Wilbert nie powiedział prawdy, ale matce wystarczyło to już do zrozumienia troski, jaka jej syna gnioła. Była to wiadomość w każdym razie nie bardzo wesoła, bądź co bądź jednak nie była tak straszną, jak się tego pani Wilbert obawiała. Odetchnęła więc, jakby jej ciężar spadł z piersi. Na pięknej jej twarzy pojawił się uśmiech, kiedy wesołym głosem spytała:

— Więc to wszystko? I tem się tak smucisz?

— Tak jest, mam!

— Zaiste, sprawa ta nie warta, aby się nią tak dręczyć.

— Ale cóż my pocniemy, mam? Pensja moja wystarczała nam prawie na życie, odkładać nie mogliśmy przecie ani dolara.

— Wypełniałeś zawsze swój obowiązek, znajdziesz więc z łatwością nowe miejsce. Nie dręcz się więc, moje dziecko, rozjaśnij twarz i zacznij znowu żyć spokojnie i cicho, jak dawniej.

Mówiąc to, patrzyła mu błagalnie w oczy.

Dawniej sposób życia Henryka był nadzwyczajnie regularny. Wieczorem powracał zawsze wesoły i uśmiechnięty do domu, z którego już po największej części nigdzie nie wychodził, ale grał z matką w szachy lub czytał.

W ostatnich kilku tygodniach wszystko to się zmieniło.

Na drugi dzień, wychodząc do biura, Henryk powiedział matce, że wróci dopiero późno w nocy.

Potem ucałował ją serdecznie na pożegnanie i wyszedł znacznie weselszy, jak zazwyczaj.

Biedna matka nie przeczuwała wcale, że syn jej miał w kieszeni nabity rewolwer i że zdecydował się już palnąć sobie w danej chwili w łeb.

Duszę jego dręczyła tajemnica, którą się z nikim podzielić nie chciał; przemocą usiłował ustroić twarz maską spokoju i wesołości, ale w sercu jego panowała burza.

Na najbliższym przystanku wsiadł do tramwaju konnego. Równocześnie z nim wsiadła jakaś młoda dama. Była ona zjawiskiem nadzwyczajnym. Przestępcy, jasne, siwe oczy tworzyły szczególniejszy kontrast z ciemną, południową cerą i kruczemi włosami. I mimo, że Wilbert cały był zajęty swymi niewesołymi myślami, nie mógł się jednak powstrzymać, aby na nią od czasu do czasu nie rzucić okiem.

Naraz opanowało go jakieś nieokreślone uczucie. Zdawało mu się, że tę twarz już gdzieś widział, jednakże mimo usilnej chęci nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Z drugiej strony było to zjawisko tak różne i odbijające od zwyczajnych, codziennych, że absolutnie, jeśli ją już kiedy widział, musiała mu się wryć w mózg.

Nie chciał się jednak dłużej już nią zajmować, kiedyś zauważył, że i ona go obserwuje.

Wysiadł przed gmachem, w którym się znajdował bank Mortona i Spółki. Wchodząc do kancypetu obejrzał się jeszcze i zobaczył, że ta piękna kobieta również wysiadła i szła po drugiej stronie ulicy.

— Gdzie ja już te oczy widziałem?

Naraz dziwna jakaś myśl przebiegła mu przez mózg, bo twarz jego pokryła się trupią bladością, a z ust wydarł się szept trwogi i przerażenia:

— Rany boskie! Czyżby mnie ajenci policyjni pilnowali?!

I na samą myśl o takiej możliwości ręka jego instynktownie znalazła się w kieszeni, w której był ukryty nabity rewolwer.

Przecucie nie zawiodło go.

Kobieta, która w tramwaju siedziała naprzeciw niego i razem z nim wysiadła, to była Marya Golling, tajna agentka policyjna.

Każdy nerw drżał w nim, kiedy z utajoną trwogą starał się czytać w oczach i twarzach kolegów, lada minuta obawiając się odkrycia.

Życie jego było zaiste piekłem. Dzień w dzień pracował przy swoim biurku, dręczony wyrzutami sumienia, drząc cały, ilekroć ktoś do niego przemówił, lub czegoś odeń zażądał. Czuł, że zachowanie jego musiało wpaść w oko właścicielom firmy i zdawało mu się, że oni czekają tylko sposobności, aby go napiętnować, jako złodzieja.

Rozdrażniony i podejrzliwy domyślił się odrazu, że ta piękna dziewczyna, która mu towarzyszyła aż do banku, jest agentką policyjną. Wiedział przecie, że w Nowym Jorku istnieje oddział agentek tajnej policyi, które w pewnych wypadkach dokonywały rzeczy nadzwyczajnych.

W ciągu dnia znalazł się Wilbert przypadkiem w jednym z oddziałów biura, przytykającym tuż do gabinetu Mortona. Do uszu jego, przez ustawiczną obawę niezwykle czułych, dobiegły słowa, które mu krew w żyłach zmroziły.

— Jakżeż stoi obecnie sprawa z Henrykiem Wilbertem? — pytał Grzegorz Robertson.

— Posuwa się swoją drogą — odpowiedział Morton.

— Boję się, czyś pan nie popełnił wielkiego głupstwa — ozwał się znowu Robertson.

— Jakto?

— Ptaszek nam czmychnie z rąk, zanim się doń weźmiemy.

— Nie sądzę. Przecież on nawet nie przeczuwa, że na nim ciąży podejrzenie, tem mniej zaś, że został już odkryty.

— Proszę pana, zdaje mi się, że on jest chytrzejszy i sprytniejszy, jak pan sądzi. Obserwowałem go bardzo uważnie. Przeczuwa on wiele więcej, niż nam się zdaje. Gdy już będzie zapóźno, przekona się pan, że ja miałem rację.

— Sprawa ta, kochany Robertsonie, jest w do- brych rękach. Za kilka dni będziemy mieli dowody, a Henryk Wilbert znajdzie się pod kluczem. Samo podejrzenie niema dla nas wartości; musimy mieć w ręku dowody jego winy, zanim on znajdzie czas na przygotowanie sobie wykrętów. To utrudnia sprawę; dlaczego — wiesz pan o tem tak dobrze, jak ja.

Gdyby który z kolegów zwracał był uwagę na Henryka Wilberta, byłby się przestraszył, widząc go, wracającego do biurka. Wyglądał, jak istny upiór.

Za chwilę już był zdecydowany. Uspokoił się

znowu i zabrał do roboty, jak gdyby nie ten dzień miał być ostatnim w jego życiu.

* * *

Po skończonej pracy, wychodząc z biura, powiedział kolegom, jak zwykle, „dobranoc“. Żaden też z nich nie przeczuwał nawet, jaki ciężki zamiar krył się na dnie duszy odchodzącego.

Wszedł do restauracji, aby się czemś pokrzepić. Naprzeciw niego siedział jakiś młody mężczyzna, na pachole prawie wyglądający.

Henryk zanałto był sam sobą zajęty, nie zauważył więc wcale, że obserwowało go starannie dwoje siwych oczu. Zdawało mu się, że potrafił schować w sobie wszystkie dręczące go myśli, ale te oczy, które na nim z takim współczuciem spoczywały, musiały na jego zasepionem czole wyczytać jego straszne postanowienie. Może nie całkiem dokładnie, ale w każdym razie na tyle, iż młodzieniaszek postanowił widocznie roztoczyć nad nim nieustanną opiekę.

Po jakiejś godzinie, kiedy już się ściemniło, Henryk Wilbert wyszedł z restauracji i udał się ku jednemu z niedaleko się znajdujących parków, gdzie z głębokim westchnieniem rzucił się na ławkę. Był przekonany, że jest sam, ale tuż koło niego, ukryta w cieniu drzewa, leżała jakaś smukła postać, słuchając słów, wyrrywających się od czasu do czasu jakby dla ulżenia znękanemu sercu, z ust Henryka.

— Boże mój, Boże! Jakąż męką jest dla mnie życie! — skarżył się biedak półgłosem. — A jakie męki czekają teraz moją matkę!...

Naraz głos jego nabrał jakiejs dziwnej siły i surowości:

— Ale raz jeszcze się odważę! Muszę spróbować szczęścia! Jak mi się nie uda, to potrafię umrzeć!

Podniósł się i wyszedł z parku.

Każde jego słowo odbijało się smutnem echem w sercu tej, która go pod maską młodego chłopaka podsłuchiwała.

Marya Golling nie była już tą samą, co przedtem, odkąd jej oczy po raz pierwszy spoczęły na Henryku Wilbercie. Jego piękna, męska postać wywarła na niej głębokie wrażenie.

Przez długi szereg ulic szła Marya za młodym człowiekiem, aż stanęła przy bramie osławionej jaskini gry. Henryk położył rękę na klamce, ale coś go wstrzymało. Odwrócił się i zobaczył przed sobą chłopaka, który pieściwym głosem rzekł do niego:

— Niech pan tam nie wchodzi!

Henryk i tak już rozdenerwowany, huknął nań ostro:

— Kto pan jesteś?!

— Nieznajomy wprowadź, ale mimo to chciałbym pana odwiedzić od zamiaru wejścia do tej jaskini.

— Cóż pan wiesz o tym domu?

— Wszystko!

— Jednego jednak, jak się zdaje, pan nie wiesz, że niepotrzebnie wtrącasz się w cudze sprawy. Nie tykajże nosa, gdzieś nie dał grosza!

— Nie miałem zamiaru pana obrazić.

— W takim razie dajże mi pan spokój!

— Więc panu powiem jeszcze tylko to: Pamiętaj pan o swojej matce!

To podrażniło Henryka jeszcze bardziej. W chwili beznadziejnej rezygnacji, w jakiej się teraz znajdował, nie było mowy o tem, aby się mógł opanować, a wmieszanie się kogoś obcego w jego sprawę, oburzyło go. Podniósł rękę i uderzył chłopaka tak, że ten runął odrazu na ziemię.

Po chwili jednak zawstydził się sam siebie. Żał mu się zrobiło, że tak nieludzko postąpił, jego dobre serce na nowo wzięło górę. Pochylił się nad uderzonym, ale młodzieniaszek nie potrzebował jego pomocy i w tejże chwili sam zerwał się na nogi.

Potem Henryk odwrócił się znowu i bez żadnych przeszkód wszedł do jaskini gry.

Był zdecydowany raz jeszcze spróbować szczęścia. Gdyby mu i nadal nie sprzyjało, postanowił wybrać to ostatnie wyjście, które dla dusz zro- paczonych i beznadziejnych wydaje się jedynem.

Tymczasem młody nieznajomy udał się do znajdującego się obok komisaryatu policyi i przebrał się w jednym z prywatnych gabinetów. Przebrał się szybko i ciekawie. Zdjął z głowy jasną perukę o blond włosach, a włożył kruczo czarną. Na wardze pod nosem ukazał się teraz piękny wąs. Ubranie zaś zmienił tak skrupulatnie, że młodzieniec, mający przedtem wygląd pacholecia prawie, teraz wyglądał, jak elegancki donżuan.

Wszystko to trwało kilka chwil zaledwie. Po-